



Dwa modele

(opowiadanie ze zbioru pt. „Ułeczka”)

(Tomkowi)

Tomek był moim ciotecznym bratem, rówieśnikiem, najlepszym kumplem chłopięcych zabaw. Wtedy spędzaliśmy najwięcej czasu wspólnie. Jako nastolatkwie też spotykaliśmy się często, i później także. Tomek był pierwszą osobą bliską mi jednocześnie uczuciowo i pokoleniowo, która odeszła. Równie młodo, co niespodziewanie. Kolejny przykład, jak kruche jest życie.

W ciepły wielkanocny poniedziałek Tomek wstał od gorącej herbaty i wyszedł na chwilę na dwór. Ktoś mu powiedział, że do silosu po kiszonce wszedł pijaczek, który wyciąganiem fusów z dna chciał zarobić na pół litra. Wyciągał te fusy wiadrem na sznurku, ale był nietrzeźwy i wiadro wpadło mu do silosu, więc po nie zszedł. W silosie zasnął. Tomek pobiegł mu na ratunek, ale sam zachłysnął się gazem na dnie silosu, stracił przytomność i niemal natychmiast zmarł. Herbata w domu wciąż stała ciepła na stole, obok leżało jakieś pismo, żona szykowała obiad. Rzeczywistość jakby nigdy nic czekała na Tomka, lecz jego od kilku minut już w niej na zawsze nie było.

Pewnego dnia mój cioteczny brat Tomek odwiedził mnie ze skarbami, które wystawały z przewieszzonej przez ramię turystycznej torby.

– To nie dla ciebie – zapowiedział na wstępie. – Po drodze do autobusu mijalem składnicę harcerską. Pamiętasz, jak kupowaliśmy materiały na latawcę i szybowce do sklejania? Pomyślałem, że kupię coś przy okazji i zawiozę chłopakom Romka, może się wciągną. Prawie nic teraz nie ma w składnicy, ale...

Roman był bratem Tomka, a starszy z jego synów miał wtedy około dziesięciu lat. Tomek wyciągnął ze swego sakwojazdu dwie długie paczuszki, jedną tekturową, drugą foliową – w tej drugiej przez opakowanie widać było kolorowe skrzydło z pianki, kadłub z balsy i stosik mniejszych części.

– Zestawy do samodzielnego montażu. Jeden model to prościutki szybowiec do wyrzucania z ręki, drugi ma śmigło napędzane gumą – Tomek wskazywał kolejno, który jest który, jakbym się na tym kompletnie nie znał. Dostrzegam, że tekturowe pudełko z zestawem jest zamknięte zszywkami, a ciekawi mnie, jak wygląda zawartość.

– Możemy to odgiąć? – pytam – Potem się zamknie tak, że nie będzie śladu

otwierania.

– Pewnie. Przecież to nie ma znaczenia. Nie wiozę im tego pod choinkę.

– No to dawaj.

Samolot w tekturowym pudełku to był ten do swobodnego latania: sztywny karton skrzydła, drewniany kadłub i listewki, drobnoziarnisty papier ścierny do wyrównywania krawędzi. Trzeba to wszystko trochę obrobić, starannie skleić – nie wydawało mi się, że to zadanie dla kręconego dziesięciolatka i jego młodszego braciszka. Mój cioteczny brat był podobnego zdania. Zdecydowaliśmy, że zmontujemy samolocik, a Tomek powiezie go bratankom przygotowany do lotu. W autobusie raczej nie będzie tłoku, więc powinien dowieźć model bezpiecznie i w całości.

Krótkie konsylium nad zestawem. Dobra – bierzemy się! Wyglądzamy nierówności na częściach, z uzasadnioną nieufnością sprawdzamy odległości i wymiary, przycinamy i sklejemy co trzeba. Klejem jest schnący w miarę szybko wikol, konfekcjonowany z etykietą zastępczą. Etykieta została zdarta, na tubce można przeczytać: „Krem pielęgnacyjny do rąk”.

Kiedy samolot jest już skleiony, oglądamy go uważnie z każdej strony; klej jeszcze dosycha, a my upewniamy się co do rzetelności montażu.

– Myślisz, że jest dobrze wyważony? – pyta Tomek, istotnie ważąc szybowiec w dłoni. Chodzi mu jednak nie o ciężar, ale o to, czy środek ciężkości konstrukcji jest w właściwym miejscu, by zapewnić modelowi łagodny, równy lot.

– Sprawdźmy go – odpowiadam. – Stąd do furtki jest dość miejsca, żeby go puścić leciutko, na próbę.

Okazało się, że samolot troszkę ściąga w dół, jednak przy silniejszym wyrzucie powinien chyba lecieć lepiej. Chyba...

– Wiesz, co? Puśćmy ten samolot raz, jak trzeba. Tyle się narobiliśmy, przecież trzeba zobaczyć, jak szybuje, nie?

Podwórko jest za małe na szybowanie dla takiego modelu, nawet papierowe samolociki nie miały tu nigdy za dużo przestrzeni, a co dopiero taki. Wychodzimy za furtkę, na ulicy przestrzeni jest więcej, lecz także nie za wiele. W tamtych czasach po drugiej stronie wciąż rosło sporo drzew, ich gałęzie pochylały się nad ulicą. Po przeciwnej stronie płot od naszego ogrodu. Pozostaje prosty „korytarz” jezdni – lepszego miejsca w okolicy nie znajdziemy. Parkuję wózkem przy furtce, a Tomek wyszedł na środek ulicy i mierzy ją wzrokiem, trzymając w ugiętej ręce model latający. Przypomina w tej postawie kowboja szykującego się do rewolwerowego pojedynku w mieście bezprawia.

– No to rzucam, uwaga – mówi Tomek i wykonawszy krok do przodu, puszcza z łagodnego zamachu samolot, który leci może ze dwadzieścia metrów, po czym ostro skręca i ląduje nosem na asfalcie. Decydujemy się przesunąć mu trochę środek ciężkości i pomajstrować przy sterze, żeby wyprostować tor lotu. I rzeczywiście, następna próba jest bardziej udana: model szybuje dalej, tyle że nadal skręca, nawet mocniej. Jest bezwietrznie, więc coś tu nie tak z modelem. Potrzebne są dalsze poprawki...

Nie ma już mowy o testowaniu samolotu; puszczanie go wciągnęło nas i bawimy się na całego jak nastoletni chłopcy. Wszelkich modyfikacji dokonuje

Tomek, choć uzgadniamy je wspólnie. Ale on jest staranniejszy, metodyczny we wszystkim. Ja bym najchętniej tu podgiął, tam przesunął, ciach i już. Ten modelik jest zbyt mały, żeby dać się ustawić do stabilnego szybowania. Pieczołowitość zabiegów nad nim – choćby pozornie skutecznych – jest tutaj rytuałem, udawaniem wtajemniczenia w niuanse modelarstwa, utwierdzaniem swej wiary w panowanie nad związkiem przyczyny i skutku. Tomek to ma, tę akuratność i cierpliwość; ja nie mam za grosz. Moje samoloty i latawce zawsze miały się w powietrzu na wszystkie strony, oddając ruchem niecierpliwą naturę ich konstruktora.

Mniej więcej po półgodzinie model latający ma już za sobą kilkanaście dynamicznych lotów, podczas których zaliczył kilka twardych lądowań na asfalcie, raz trafił w krzaki, a raz zawadził skrzydłem o płot. Kolejne oględziny: samolot jest już mocno sfatygowany.

– Chyba nie powiesz go chłopakom – mówię. – Teraz w autobusie ktoś może na niego nawet usiąść i nie będzie dużej różnicy. Dobrze, że masz drugi samolot.

– E, tam... – Tomek macha ręką – zaraz i ten zmontujemy i też porzucamy. Nie obiecywałem im samolotów, tylko mecz w nogę. Ostatnim razem dostali i chcą się odegrać.

– Serio bierzemy ten drugi?

– Pewnie.

Montaż drugiego samolociku okazał się prostszy. Model był mniejszy, z balsy, pianki i plastiku, nie trzeba w nim niczego kleić i czekać, aż wyschnie. Lekkie skrzydło zostało przytwierdzone do kadłuba, zaś duże śmigło na kulce połączone gumą z zaczepem w okolicy ogona. Guma jest tu „silnikiem”. Nakręca się śmigło, a następnie puszcza samolocik – rozkręcająca się guma obraca śmigłem, które wspomaga lot. Tyle zasad.

W praktyce nasza latająca machina sprawuje się znacznie poniżej oczekiwań. Delikatnie wyrzucona, podlatuje kawałek, po czym siada z klapnięciem na ziemi; nie wydaje się, żeby kłokocące śmigło coś tu pomagało. Podobnie wyglądają dwa następne loty. Zestaw jest chyba zbyt ciężki jak na ciąg śmigła, sama guma sporo waży, śmigło też zrobiono z jakiejś ciężkawej masy, wolno się rozpędza. Przy próbie mocniejszego nakręcenia śmigła pęka guma.

– Aj – mówię, Tomek patrzy zdziwiony, czy naprawdę mnie zabolęło.

– Pokaż, to trzeba inaczej. Zaraz będą prawdziwe loty.

Wziąwszy samolot, pozbawia go gumy i śmigła, podgina stateczniki.

– Machnę go i pójdzie jak z katapulty. Łaski nie robi.

I Tomek znowu wychodzi na środek ulicy, po chwili rozpędza się i wypuszcza z impetem pozbawiony balastu model. Samolocik w ułamku sekundy wzbija się łukiem ku górze, by w straceńczym locie wykonać całą pętlę, lecz na drodze stają mu gałęzie drzew, w których grzęźnie z pufnięciem – i tam zostaje.

Gapimy się w górę, jakby spodziewając się, że za chwilę wróci do nas, ale, oczywiście, nic z tego. Trzeba go ściągnąć. Najlepiej byłoby bosakiem, jednak bosak jest też wysoko, bo pod okapem garażu, i nikt nie będzie sobie zadawał aż tyle trudu, żeby po niego iść. Nasza estyma wobec sztuki modelarskiej uległa w ciągu popołudnia pewnej erozji. Tomek podnosi z pobocza solidnie wyglądający badyl i

rzuca nim w złodziejskie gałęzie, które uwięziły naszą własność. Po drugim rzucie za badyłem spada samolocik i kilka utraconych gałązek. Oględziny są krótkie: model jest zwichrowany i ma nadłamane skrzydło – nie będzie już więcej latał.

– Tośmy sobie popuszczali samoloty...

– Szkoda, że tu tak mało przestrzeni. I jakby do tego mieć porządniejszy model... Latawiec fajnie byłoby zrobić – jak za niedawnych czasów.

– A ja myślę, że szkoda, że im tego nie zawieszysz. Starym koniom zachciało się samolociki puszczać.

Zgrywamy się ze swojej dziecinady, a Tomek w końcu mówi:

– Dobrze jest, pogram z chłopakami w piłę. Chcą mi dołożyć, niech próbują. Z Romkiem pogadam. Samolotami zdążą się pobawić. A do ciebie jeszcze wpadnę z czymś takim, fajnie się powyglupiać po dawnemu. – Patrzy na zegarek. – No, autobus za kwadrans, czas na mnie. Na razie!

Pożegnaliśmy się i Tomek pojechał. Nie dowiedziałem się, czy pozwolił się wtedy ograć swoim bratankom. Takie wyniki nie idą w świat. Z żadnym modelem latającym już więcej się nie pojawił, choć wpadał do mnie często. Wtedy po raz ostatni spędziliśmy wspólnie czas jak mali chłopcy. Nigdy nie wiemy, kiedy zdarza nam się coś po raz ostatni.

